

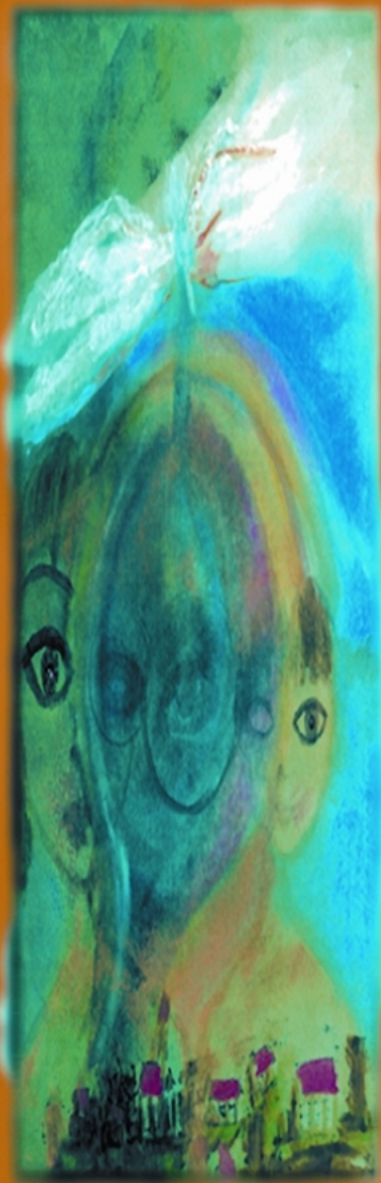
III WYDANIE!

Helena
Saniewska

MAŁY
WIELKI
ŚWIAT

*Książka
dla ludzi młodych
– niezależnie od wieku*

EUROPA
WYDAWNICTWO



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

**MAŁY
WIELKI
ŚWIAT**

Helena Saniewska

**MAŁY
WIELKI
ŚWIAT**

Dyrektor, redaktor naczelny
Wojciech Głuch

Opracowanie redakcyjne, korekta
Zofia Smyk

Przygotowanie do druku
Studio MAK sp.z o.o., tel./faks (071) 372 57 84

Ilustracja na okładce
Krystyna Świecznik-Hamer

Opracowanie graficzne okładki
Magdalena Idaszewska, Krystyna Świecznik-Hamer

Wydanie II 2000

© Helena Saniewska 1999

Wszystkie prawa zastrzeżone, szczególnie prawo do przedruku i tłumaczeń na inne języki.

Żadna z części tej książki nie może być publikowana bez uprzedniej zgody autorki.

Dotyczy to również sporządzania fotokopii, mikrofilmów oraz przenoszenia danych do systemów komputerowych.

ISBN 83-87977-06-3

Wydawnictwo EUROPA
50-011 Wrocław, ul. Kościuszki 35
tel. (071) 346 30 11, tel./faks (071) 344 79 68,
e-mail: europa@wydawnictwo-europa.pl
www.wydawnictwo-europa.pl

BĘDZIECIE MNIE MUSIELI NAJPIERW ZWIĄZAĆ

Nieznośny pisk brutalnie przerwał mój kamienny o tej porze sen poranny i wdzierał się bezpardonowo i bezczelnie do mojego mózgu, by – jak co dnia – rozpocząć w nim nieodwracalne spustoszenie.

Z pewnością nikt nie uszczęśliwił mnie prezentem równie perfidnym, diabło złośliwym i bez sensu, jak tym niewydarzonym budzikiem ciotka Patrycja z Kanady. Brr... Ładny początek dnia! Samo wspomnienie ciotki Paty wywoływało u mnie zimne poty i bolesny skurcz żołądka, a cóż dopiero histeryczny wrzask tego upiornego „sufitowca”. Dziś, na szczęście, w samą porę, włączył się mój instynkt samozachowawczy.

Leżąc na brzuchu, błyskawicznie wyrzuciłam w górę głowę i ramiona – na ułamek sekundy, w sam raz na tyle, by jedynym ruchem wyszarpnąć poduszkę i przykryć się nią szczelnie od góry. Co za ulga! Jak cicho...

Trwałam tak dobrą chwilę, z gorliwością przyciskając mój „kask” z pierza, jakby od tego miał zależeć mój uczniowski los i całe moje przyszłe życie. Gdy poluzowałam jednak uścisk ramion, żeby wpuścić odrobinę orzeźwiającego tlenu, piski z góry znowu zaatakowały agresywnie. Powinnam była je właściwie zlekceważyć: udać, że to nie do mnie, że pomyłka albo że ich w ogóle nie ma, ale okazało się to ponad moje siły. One tymczasem, jak laserowy promień, wwiercały się w mój mózg i bezlitośnie cięły na plasterki.

– Zuzka!!! – na dźwięk budzika nałożył się rozdzierający krzyk mamy.

Zamontowany tuż nade mną budzik-widmo ciotki Paty można było jeszcze od biedy przetrzymać, ale nie obydwaj te słowicze głosy naraz! Mama wiedziała o tym doskonale i zawsze dołączała się perfidnie, tworząc wraz z nim niewiarygodny duet, którego jazgot i kakofoniczne brzmienie porównać można było chyba tylko ze strojeniem wyjątkowo hałaśliwych instrumentów.

Mimo że dzień, o którym mowa, zaczął się niby typowo i zwyczajnie, okazał się najgorszym w moim życiu; pasmem stresów, klęsk i udręk, zamachem na moje nerwy i uczucia, na zdrowie psychiczne, fizyczne i jakie tam jeszcze. Na mnie cała.

– No, do licha! Zuzka! Wyłączaj ten upiorny budzik i szoruj do łazienki! W końcu spóźnicie się do szkoły!

Głos mamy był już teraz znacznie wyższy niż normalnie i z pewnością nie mógł wróżyć nic dobrego, choć brak „zaśpiewu”, typowego dla niej w takich chwilach, wskazywał, że nie był jeszcze prawdziwie niebezpieczny.

Naprawdę, nie wiem, jak udało mi się doprowadzić moje ciało do „półpionu”. Szczerze mówiąc, fakt ten codziennie mnie tak samo zaskakiwał. Z grzbietem wygiętym po kocie mu, wodziłam smętnym, jeszcze na w pół śpiącym wzrokiem po pokoju, nad którym – jak mówiła mama – „przeszedł tajfun, a później w niego piorun strzelił”, z niechęcią prześliznęłam się po rozrzuconych ciuchach, stosach zeszytów, podręcznikach i kasetach, aż wreszcie rozhuśtałam się na dobre i wyłącznik „sufitowca” znalazł się w zasięgu ręki. Cisza... Nieoceniona, piękna cisza...

Powoli, jakby się bojąc ją zakłócić i utracić bezpowrotnie, spuściłam nogę i po omacku odszukałam drewniak. Obuta stopa natrafiła na coś niewielkiego i kruchego, co pod jej ciężarem podejrzenie gruchotnęło, wypełniając pokój suchym trzaskiem. Poczulałam, że krew z mojego ciała odpłynęła nagle nie wiadomo dokąd, a w stopach odezwało się nieznośne mrowienie. Wiedziałam, czułam to, że – o ironio losu! – ja, fanka Freddiego, mam właśnie pod butem moją ukochaną muzykę: szczątki „Queen”; piosenek, które – może już dla niektórych zapomniane i przebrzmiałe – dla mnie wraz z so-

listą nie umarły; nieodmiennie wywołują we mnie dreszcz emocji, choć słucham tego na okrągło, maniakalnie. Przeczucie okazało się rzeczywistością, a „Queen” – kupką plastikowych odłamków z taśmą w środku.

Ta zdeptana muzyka idola miała być jednak tylko początkiem, ledwie wystającym czubkiem góry lodowej, wręcz idealnym preludium do tego dnia jak z horroru.

Rozróbę w kuchni – zwyczajowo wywołaną przez Filipa – przemilczę jako coś nie mniej oczywistego niż fakt, że woda jest i będzie mokra, a ogień parzy. Zabolało mnie jedynie „spostrzeżenie” taty (co go ugryzło?), że od takiej pannicy może chyba oczekiwać pewnej klasy i oleju w głowie, a Filip (niby ten biedny, piegowaty knypek) to przecież „małe dziecko, któremu daję taki beznadziejny przykład”. Napięcie rosło, jakby zaraz miała się rozpętać burza z piorunami, a ja – zraniona taką niesprawiedliwością taty – miałam wrażenie, że jak dziecko się rozplączę. – Nie... – wciąż powtarzałam sobie w duchu – nie mogę dawać smarkaczowi takiej satysfakcji, bo to plotkarz i okropny aferzysta i cała szkoła huczałaby najdalej po kwadransie. Za nic w świecie.

Zacisnęłam więc zęby i wybiegłam, dobrowolnie zostawiając ledwie tkniętą jajecznicę potworowi na pożarcie. Czułam, że jeśli coś się niedobrego dzieje z tatą, bezpieczniej będzie się ulotnić i wrócić, jak już się to wszystko „przewali”.

– Kanapki!!! – krzyknęła za mną mama i z niewiarygodnym wprost refleksem wstrzeliła w szparę zatraskiwanych przeze mnie drzwi przygotowane zawiniątko.

Kanapki to była jej obsesja. Mogliśmy do szkoły wyjść bez głowy, butów i tornistra, ale nie bez kanapek.

W tym pośpiechu zapomniałam, oczywiście, karty na autobus. Kanary, żadne sukcesu i w tak zwanej pełnej gotowości, czyhały już jak diabeł na niewinną duszę, byłam więc bez szans. Zwłaszcza ona była krwiożercza i nieprześlągana.

– Cóż takiego! Zapomniała biletu! – skrzeczała upiornie, w lewo i w prawo strzelając ślipkami, z których kapąły błękitne pastele i dzika satysfakcja. – Wszyscy się tak tłumaczą!

Ludzie patrzyli, a ona dobijała mnie swym jadownicim uśmiechem, nawet na moment nie przestając szczerzyć swego niewiarygodnego użębienia.

Wlepiłam wzrok w ten regularny przekładaniec: biały-srebrny-biały-srebrny i nie wiem czemu pomyślałam sobie, że właśnie tak wyglądać mogłyby sztachety w płocie jakiejś ekstrawaganckiej supergwiazdy w Hollywood. Pani ziewnęła przeciągle, nieoczekiwanie pokazując także to, co ma za „płotem”.

– Bajkowy ogród to to nie jest... – wzdrygnęłam się widocznie nazbyt wyraziście, bo uśmiech na jej ustach zgasł jakby polany wodą i nic już mnie nie było w stanie uratować. To jasne.

A w szkole poszło jeszcze gorzej. Spóźniona i z mandatem w zaciśniętej dłoni, zatrzymałam się dopiero na potężnym torsie wuefisty.

– Cóż za miłe spotkanie, Zuzanko! – wybuczał „Olimpijczyk”, energicznie rozcierając walniętą pierś. – Ty zawsze tak oryginalnie wchodzisz do szkoły?

Jak wyciągnięta z wody ryba ruszałam ustami i nic – żadnego dźwięku! – a on stał ubawiony i czekał, co przyniosą następne sekundy.

– Nie zawsze! I nie jestem Zuzanka ani żadna Zuzia, tylko zwyczajnie: Zuzka! – odpyskowałam w końcu i uciekłam.

Nie wiem, jak się na taki arogancki tekst zdobyłam ani też kiedy i właściwie po co się znalazłam w naszej klasie, jak śliwka w kompot wpadłam bowiem na kartkówkę-niespodziankę z matmy.

Męczyłam się nad równaniami, w których ktoś rzekomo upchał po dwie niewiadome, a których ja widziałam znacznie więcej, aż „Zocha” podeszła w końcu i z widoczną troską pochyliła się nad moją rozpaczliwie pokreśloną kartką. Tkwiła w tej męczącej pozie całe wieki, jakby ze zwykłej babskiej ciekawości, jak długo jej kręgosłup będzie w stanie tak nierówne obciążenie wytrzymać.

– Idź, dziecino, na świeże powietrze... Nic tu po tobie.

Rzuciwszy jej pełne wdzięczności spojrzenie, przytomnie chwyciłam za kanapki i – czym prędzej, żeby się nie rozmy-

śliła – wyszłam na korytarz. – Równania... I to w dodatku takie wredne... Praktycznie same niewiadome! – zżymałam się, nawet nie patrząc na boisko i zmagania chłopców z siódmej klasy, gdy nagły gwizdek przenicował mnie na wylot.

– I raz, dwa! Raz, dwa! – komenderował „Olimpijczyk”, tłukąc paletką pingpongową w swoje okazałe udo. – No, chłopaki! Co jest?! Ruszać się, dżentelmeny! Żwawiej! A ty, Wojtaś, co?! Niedysponowany?! – „Olimpijczyk” rzucił „perłkę” dowcipu, a chłopcy niezawodnie ją złapali i wybuchnęli gromkim śmiechem.

Nalany Wojtaś szczerwienił okrutnie, czym sprawił towarzystwu ponowną uciechę. Chłopcy gapili się wyczekująco na „Olimpijczyka”, który – rozochocony – używał sobie na całego. Byli pewni, że potulny koleś nie odszczeknie, lecz stał się cud: zawsze jak cielę pokorny Wojtaś splunął od niechcenia daleko w bok i – hardo uniósłszy głowę – ruszył energicznie w stronę furki. Wuefista zmielił pod nosem coś zwiędłego i nerwowym ruchem sięgnął do kieszeni.

– Panie Waldku! Nie ma mowy! Tylko nie papierochy! – wystrzelił na boisko pełen oburzenia, cienki głosik, a tuż za nim wytoczyła się okrągła woźna Ziombikowa – zagorzała strażniczka czystości na naszej skażonej planecie i nieprzejednany wróg palenia.

Gdy już z uciechy zacierałam ręce, bo zapowiadał się zupełnie niezły cyrk na dole, zniecka zaatakowało mnie od tyłu ciepło i miękkie jak aksamit:

– Halo, kochanie...

Odwróciłam się i nogi ugięły się pode mną: w drzwiach dentystycznego gabinetu ślaniała się jak trzcina postać „Pięknej Śmierci”! Nie wiem, skąd się ta upiorna ksywa wzięła, ale pasowała do dentystki idealnie i przyjęła się na wieki wieków.

– No, chodź, aniele... – zgrzytnęła chropawo, aż przeszły po mnie lodowate ciarki. – Widzę, że masz chwilę wytchnienia...

Jej chudy palec wskazujący kotłował się powoli i miarowo na końcu wyciągniętej w moją stronę, trupio bladej ręki i rytmicznym

„padnij-powstań” przywoływał mnie do siebie. Ruszyłam desperacko w stronę schodów, ale „Śmierć” dopadła mnie natychmiast, a na drżącym z przerażenia karku poczułam zimny, przejmujący dotyk. Potem ujęła mnie jak w kleszcze i było już zupełnie jasne, że jestem jej i że się nie wywinę.

– To jakieś nieporozumienie, pani doktor... Ja... ja nie muszę! – broniłam się przed „Śmiercią” rozpaczliwie.

– Czego nie musisz, dziecko drogie? Ząbki masz? Masz. Więc musisz... – przekonywała aksamitnie, a jej żelazny, lodowaty uścisk zamrażał moje mięśnie i krew w żyłach.

Miałam wrażenie, że ona już nie płynie w moim ciele, co więcej: że przestała już być cieczą i oczyma wyobraźni zobaczyłam ją w równiutkich kostkach – jak lód do napojów brzęcząca w kryształowym naczyniu.

– Prze... przecieź mo...oja mama... – jękałam beznadziejnie. – Ona mnie cze...ęsto sprawdza!

– A... zapomniałam, że mama... – rzekła z przekąsem i tajemniczo uśmiechnęła się pod nosem. – Nie szkodzi. A nawet lepiej. Pewnie zajęta i przepracowana... Tłumy pacjentów... A poza tym, znasz takie powiedzonko o szewcu bez butów...?

– Trafiała w dychę! – jęknęłam w duchu. – To już po mnie.

Mama, faktycznie, dobry rok nie zaglądała w moje uzębienie. Jak się jej przypomniało, że koniecznie trzeba zrobić mi kontrolny przegląd, zawsze znalazłam jakiś wykręt „nie do podważenia”. Czasem odwrotnie: gdy na sto procent byłam pewna, że tym razem to ze strony mamy niemożliwe, sama zgłaszałam się ochoczo do przeglądu. I tak w kółko.

– Nnooo... jak na dziecko stomatologa... – „Śmierć” emokała, z piekielną siłą przygważdżając moją głowę do zagłówek. – Nieźle...

A potem nic już nie słyszałam, tylko ryk wiertarki w mojej górnej „czwórce”. „Piękna” – niczym górnik na przodku – ryła z zapamiętaniem, wióry z „czwórki” leciały na lewo i na prawo, a ja – spięta do granic możliwości i po brzegi wypełniona przerażeniem – nie miałam wątpliwości, że wwierci mi się w końcu w lewy płat mojego mózgu i przebije czaszkę na wylot.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).